

Rozmowa z **Kubą Stankiewiczem**, pianistą, kompozytorem i aranżerem

Muzyka to nie Wielka Pardubicka

W: Wystąpi pan na festiwalu Jazz Jamboree ze swoim programem „Chopin Songbook”. Czy jego współautorem jest Fryderyk Chopin.

KUBA STANKIEWICZ: Na pewno tak.

Jak udało się panu namówić go do współpracy?

To jest bardzo sympatyczny dżentelmen i nie trzeba było go długo przekonywać. Ale żarty na bok. Pomyśl projektu narodził się cztery lata temu. Mieszkający w Austrii reżyser Piotr Szalsza poprosił mnie o opracowanie pieśni Chopina na specjalny koncert, który miał się odbyć w październiku 1999 r. w Wiedniu z okazji 150. rocznicy śmierci Chopina.

Podszedłem do tego bardzo sceptycznie. Znowu Chopin? Przecież moi koledzy Andrzej Jagodziński i Leszek Możdżer już to robili. Ale namawiał, więc kiedy z żoną Ingą Lewandowską pojechaliśmy nad morze do Jastarni, wziąłem ze sobą keyboard, by przynajmniej spróbować. Inga zabrała stare nuty pieśni, z których korzystała jeszcze w szkole średniej. Zacząłem wgłębiać się w te harmonie i zobaczyłem, że to jest wspaniała rzecz. Kiedy wcześniej słuchałem interpretacji klasycznych na fortepian i głos, stwierdziłem, że są podporządkowane głosowi. Partia fortepianu była potraktowana drugoplanowo i nie była należycie uszanowana.

Myśli pan, że Chopin wolałby, żeby partie fortepianu były bardziej wyeksponowane?

Tego nie wiem na pewno. Można przypuszczać, że Chopin traktował te pieśni jako swój produkt uboczny. Były wpisywane do sztabucha pańnek czy dam, z którymi łączyły go zażyłości. Wydane zostały jakieś 10 lat po jego śmierci. Klasycy traktują

je jako utwory na głos z akompaniamentem fortepianu, a ja znalazłem w nich wspaniałe harmoniczne perełki, które starałem się wyodrębnić i rozpisać na instrumenty. To był przecież ówczesny pop. Gdyby w tamtych czasach było radio, to nadawałoby właśnie taką muzykę. Wyobrażałem sobie, jak te pieśni brzmiałyby w dzisiejszych czasach i tak powstały moje interpretacje pieśni Chopina.

Dopiero po czterech latach ukazała się płyta „Chopin Songbook”. Czy występował pan z tymi utworami na scenie?

Oczywiście. Co jest warte podkreślenia, projekt ten cieszył się znacznie większym zainteresowaniem poza Polską. Występowaliśmy w Austrii, w Niemczech, gdzie byliśmy dobrze przyjmowani. Materiał ulegał ewolucji. Nawet dobrze się stało, że minęło tyle czasu. Nabraliśmy dystansu do tej muzyki.

Czy można uznać, że są to jazzowe interpretacje pieśni Chopina?

W pewnym sensie tak. Linia melodyczna jest zachowana, ale pogrzebałem trochę w harmonii. To było takie przekomarzenie się z Chopinem. Wielokrotnie zdarzyło mi się, że zmieniłem jakiś akord. Bardzo byłem z siebie zadowolony, ale za parę dni jednak z pokorą wracałem do oryginału, ponieważ był po prostu lepszy.

Kogo zaprosił pan do nagrania?

Spiewa Inga Lewandowska, na puzonie gra Grzegorz Nagórski. W dwóch utworach występuje saksofonista Henryk Miśkiewicz. W sekcji rytmicznej grają: świetny basista z Wiednia Johannes Strasser i Łukasz Żyta na perkusji.

Czy ci muzycy wystąpią w Sali Kongresowej?

Tak, z wyjątkiem Henryka Miśkiewicza i Johanna Strassera. Niestety, jest w trasie koncertowej. W związku z tym na kontrabasie zagra Jaromir Honzak z Pragi, znakomity muzyk, z którym miałem okazję wcześniej współpracować.

Otworzycie festiwal Jazz Jamboree i to panu przypadnie w udziale zagranie standardu „Swanee River”.

No właśnie zastanawiam się, jak z tego wybrnąć, bo jest to także pieśń. Ciekawe, że zarówno muzyka Chopina, jak i jazz, w tym przypadku „Swanee River”, mają ludowe korzenie, więc może uda nam się znaleźć jakiś wspólny mianownik.

Jest pan jednym z nielicznych polskich artystów, który startował w konkursie im. Theloniousa Monka w Waszyngtonie i dostał się do finału.

To było podczas moich studiów w Berklee College of Music w Bostonie. Właściwie pojechałem tam na prośbę Paula Schmelinga, dziekana Katedry Fortepianu. Wysłałem taśmę ze swoimi nagraniami i zostałem zakwalifikowany. Nigdy konkursów nie lubiłem. Uważam, że muzyka to nie jest Wielka Pardubicka i nie powinno się numerować: ten pierwszy, ten drugi, ten trzeci. Ale jednak ludzie chyba lubią nas numerować – ten lepszy, tamten szybszy, ów wolniejszy. Dla mnie ważniejszą rzeczą było spotkanie wielu ciekawych pianistów i posłuchanie ich. Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem, że ten sam fortepian brzmi zupełnie inaczej pod inną ręką w tych samych warunkach akustycznych. Dojście do finału było dla mnie nobilitujące, ale nie to było najistotniejsze. Najważniejsze, że mogłem skonfrontować siebie z innymi muzykami.

Czy fakt, że pan był w finale prestiżowego konkursu, pomógł panu w dalszej karierze?

Nie sądzę, chociaż kontakty, które tam nawiązałem, do dziś procentują.

Jakie trudności napotyka pan, realizując swoje projekty artystyczne?

Realizowanie projektów jest najprostszą i najprzyjemniejszą częścią tego procesu. Schody zaczynają się później. Dzisiaj muzyk jest swoim własnym menedżerem, musi się nauczyć marketingu i wielokrotnie zdarza się tak, że czuje się jak akwizytor niechcianej marchewki. Zaczynam żałować, że nie ukończyłem studiów w rodzaju business & administration. Ta wiedza, szczególnie w Polsce Anno Domini 2003, kiedy panuje rządzający kapitalizm z elementami republik bananowych, przydałaby mi się w zderzeniu z rzeczywistością.

Ile kosztuje nagranie takiej płyty, jak „Chopin Songbook”?

Starałem się mieć najlepsze studio, najlepszego realizatora i najlepszych muzyków, a to wiąże się z kosztem kilkudziesięciu tysięcy złotych.

Dlaczego tych kosztów nie ponoszą wytwórnie płytowe?

To jest bardzo dobre pytanie, ale chyba nie do mnie. Wydaje mi się, że nie są zainteresowane sztuką. Wytwórnice płytowe zainteresowane są zarabianiem pieniędzy. Mówię tu przede wszystkim o tzw. majors, czyli koncernach płytowych, bo są jeszcze pomniejsze firmy, których ten zarzut nie dotyczy w takim stopniu.

Czy wytwórnie uważają, że nie można zarobić na płycie jazzowej?

Sytuacja na rynku płytowym jest dramatyczna, a jazz, podobnie jak muzyka klasyczna, nie jest popularny. Nie wiem, jaki jest procentowy udział tej muzyki w rynku, może 1 - 3 proc. Nie chciałbym strzelać. Jeżeli sprzeda się dwa, trzy tysiące egzemplarzy płyty jazzowej w Polsce, to jest to uważane za olbrzymi sukces. Wydaje mi się, że kiedy w 1993 r. nagrywałem pierwszą autorską płytę „Northern Song”, to był dobry czas dla kultury w ogóle. Film, muzyka – wszystko kwitło. Obserwuję teraz proces olbrzymiej komercjalizacji. Właściwie z Zachodu i ze Stanów bierzemy to, co najgorsze, bo nie potrafimy odsiewać plew. Ale nie należy obrażać się na rzeczywistość. Mam nadzieję, że te lepsze czasy dla sztuki dopiero nadejdą.

A jednak płyty jazzowe ukazują się na rynku.

Bo sami muzycy po prostu inwestują w płyty, żeby mieć pewien rodzaj wizytówki.

Która ułatwia koncerty czy następne nagrania?

Oczywiście, a kiedy otrzymuję od kolegów płyty, to się bardzo z każdej cieszę, że komuś się jeszcze w tym kraju chce tworzyć.

Rozmawiał Marek Dusza

Kuba Stankiewicz – Chopin Songbook

Kuba Stankiewicz – fortepian
Inga Lewandowska – śpiew
Jaromir Honzak – kontrabas
Grzegorz Nagórski – puzon
Łukasz Żyta – perkusja



MAREK DUSZA